

Wyjść z tyranii efektywności. Nowa ekonomia potrzebna od zaraz



DR HAB. MICHAŁ KRZYKAWSKI

prof. UŚ, dyrektor Centrum Badań Krytycznych nad Technologiami. Były współpracownik Bernarda Stieglera i członek międzynarodowego kolektywu Internacja. Interesuje się budowaniem międzyobszarowego dialogu między myśleniem filozoficznym i myśleniem naukowym. Autor wielu prac z zakresu filozofii techniki i ekonomii politycznej

System gospodarczy oparty na manii optymalizacji prowadzi nasz świat do rozpadu. Czas na stworzenie nowej ekonomii, w której główną wartością nie będzie bogactwo o charakterze czysto pieniężnym

„Zbudowaliśmy system gospodarczy i technologiczny, który aktywnie produkuje entropię” – pisała niedawno na łamach „Nowej Konfederacji” Monika Kostera. Dalsze funkcjonowanie w tym systemie jest wzmacnianiem samozniszczenia. Nie tylko osłabia ono nasze szanse na przetrwanie, rozumiane jako zdolność ludzkiej cywilizacji i biosfery do dalszego współistnienia. Staje się ono również *wykańczające* – dereguluje społeczne ekosystemy i powoduje, że pogarsza się kondycja psychiczna nas wszystkich. Tworzy świat, który zwyczajnie stracił sens na kilku powiązanych ze sobą płaszczyznach. Generuje powszechną demotyvację pracowników (a także wielu pracodawców). Rodzi coraz bardziej powszechne poczucie nieszczęścia. Nie daje nadziei na sensowną przyszłość, a życie w nim przestaje być warte przeżycia (o czym również dobitnie świadczy wzrastająca liczba samobójstw i prób samobójczych, zwłaszcza wśród młodzieży).

W kontekście tej systemowej utraty sensu – pisze Monika Kostera, powołując się na filozofa Bernarda Stieglera – szansą

na zmianę systemu staje się negentropia. Droga do tej zmiany wiedzie poprzez pracę, która sama musi się jednak dogłębnie zmienić. Ale co to właściwie znaczy? Jak rozumieć te dwa abstrakcyjne pojęcia: entropię i negentropię? Jak je przełożyć na nasze codzienne i namacalne doświadczenia? I czy rzeczywiście są nam one niezbędne do odbudowy naszej wyobraźni ekonomicznej i przywracania sensu temu, co nazywamy „światem”? A jeśli tak, to czy nie pozostają one zbyt niedostępne dla tzw. „szerokiej publiczności”?

Stawiam te pytania, przyjmując założenie, które Bernard Stiegler prostolinijnie sformułował w wywiadzie udzielonym norweskiemu dziennikarzowi Andersowi Dunkerowi: „Zawsze musisz zakładać, że ludzie są zainteresowani, inteligentni, że mają dobrą wolę. Jeśli zdecydujesz, że są głupi i nieżyczliwi, to staną się głupi, dokładnie tak, jak zdecydowałeś”. Zakładając więc, że ludzie mają dobrą wolę i wierząc, że to od wykorzystania jej pokładów zależy przyszłość nasza i przyszłych pokoleń, chciałbym w tym tekście wyjaśnić, dlaczego

negentropia oznacza dzisiaj bogactwo, w jaki sposób praca może to bogactwo pomnażać i dlaczego może nam w tym pomóc nieuchronna automatyzacja pracy.

Przeciw-historia ekonomii jako nauki o bogactwie

Dla Adama Smitha ekonomia miała być nauką o bogactwie. Podstawowym przedmiotem zainteresowania ekonomii miało być rozrost bogactwa. Miało się ono rozrastać poprzez wymianę dóbr i usług. Taka wymiana miała również wytwarzać wartość. Bogactwo mogło stać się jej podstawową miarą, jej namacalnym dowodem: im większe było bogactwo, tym większa miała być wartość. Wartość i bogactwo mogły być traktowane jako wielkości równoważne.

Takie wyobrażenie o ekonomii było później wielokrotnie rozszerzane, modyfikowane, wypaczane i krytykowane. Kwestia tego, czym jest wartość i gdzie ją można znaleźć była w dziewiętnastowiecznej ekonomii przedmiotem ożywionej debaty, ale w wieku dwudziestym debata ta zanikła. U podstaw tej zmiany legły dążenia do uczynienia z ekonomii „prawdziwej” nauki i następujące założenie: modelu naukowości należy szukać odtąd w fizyce i obliczeniach matematycznych, a nie w naukach społecznych. Debatę o wartości wyrugowano z pola zainteresowania ekonomii, uznano ją za niechciany balast. Dokonano wyboru, który odtąd pozwalał decydować, co jest wiedzą ekonomiczną, a co nią nie jest.

Zmianie nie uległo jednak zasadnicze przekonanie – że ekonomia ma być nauką o bogactwie. Takie przekonanie do dzisiaj pozostaje podstawowym motywem pobudzającym zorganizowaną aktywność, którą nazywamy gospodarką: sensem i ce-

lem gospodarowania jest osiągnięcie, utrzymanie i pomnażanie stanu bogactwa (Smithowskie *wealth*). Marzenia ekonomii o staniu się nauką ścisłą zmieniły natomiast kryteria pomiaru bogactwa. Uległ on całkowitej matematyzacji i wyabstrahowaniu.

Nakłady przeznaczane na działania marketingowe są dzisiaj o wiele większe niż nakłady przeznaczane na badania i rozwój

Dzisiaj jednak – u kresu kapitalistycznego świata, jaki do tej pory znaliśmy – kres osiąga również pewne wyobrażenie o ekonomii i dotychczasowe wyobrażenie o bogactwie jako wielkości mającej charakter czysto pieniężny. Co zrobić, aby ten kres stał się miejscem nowego otwarcia? Praca, która do takiego nowego otwarcia prowadzi polega zasadniczo na napisaniu „przeciw-historii” ekonomii jako nauki o bogactwie. Musimy cofnąć się o blisko trzysta lat, aby zrozumieć, co nam się dzisiaj przytrafia, a następnie, wychodząc od tej reinterpretacji przeszłości, spróbować zacząć jeszcze raz. To, czy takie otwarcie miałoby nastąpić w obrębie kapitalizmu, czy poza nim, jest mniej istotne.

Teoretyczne fundamenty ekonomii jutra

Dzisiaj nie chodzi wyłącznie o to, by pilnie znaleźć sposoby na ograniczenie emisji, respektując głos nauk empirycznych, który przebija się przez kolejne raporty IPCC.

Nie chcę przez to oczywiście powiedzieć, że tego głosu nie należy respektować. Do przeprowadzenia zmiany na miarę sytuacji, potrzeba dogłębnej modyfikacji aksjomatów i twierdzeń, które legły u podstaw dotychczasowej organizacji światowej gospodarki przemysłowej. Musimy dzisiaj określić nowe fundamenty teoretyczne i pojęciowe, które dla ekonomii jutra byłby tym samym, czym dla ekonomii klasycznej była fizyka Newtona, metafizyka Kartezjusza czy determinizm Laplace'a.

Od czasów rewolucji przemysłowej to nauka, która, wraz z handlem, miała być gwarantem bezpieczeństwa i pokoju, uprawomocniała rozwój gospodarczy. Ciągłe dążenie do optymalizacji za pomocą coraz potężniejszych i dokładniejszych maszyn obliczeniowych, do stopniowego podporządkowywania wszelkich aktywności życiowych kryterium efektywności – a więc wszystko to, co do dzisiaj stanowi rację bytu dominującego modelu rozwoju gospodarczego – miało silne ugruntowanie w europejskich naukach, które same znajdowały oparcie w aksjomatach europejskiej filozofii nowożytnej. Choć jawią się one dzisiaj jako archaiczne, wciąż można je dostrzec we współczesnych praktykach technonaukowych i przemysłowych, w których złożoność i charakterystyczne dla niej konteksty lokalne można zredukować do zwykłej kombinacji prostych elementów. Tego rodzaju praktyki bazują na przekonaniu, że można w ten sposób tę złożoność poznać, poddać kontroli i czerpać z niej zyski, stale dążąc do jej optymalizacji. W przełożeniu na rachunek ekonomiczny taka optymalizacja oznacza stale obniżanie kosztów wytworzenia ze wszystkimi tego konsekwencjami środowiskowymi i społecznymi, których powszechnie stosowany model księgowy pozwala nie wliczać w rachunek zysków i strat.

To w imię tej optymalizacji doktryna *business as usual* może się nie tylko utrzymywać, ale również umacniać się poprzez tzw. „biznes odpowiedzialny społecznie”, którego inną nazwą jest *marketing as usual*. To marketing, o którym Gilles Deleuze pisał trzy dekady temu, że tworzy „bezwstydną rasę naszych panów”, jest dzisiaj podstawowym trybem operacyjnym biznesu. Nie jest tajemnicą, że nakłady przeznaczane na działania marketingowe są dzisiaj o wiele większe niż nakłady przeznaczane na badania i rozwój. Dotyczy to zwłaszcza szerokiego sektora innowacji technologicznych – od szczepionek przeciwko COVID-19 do zaburzających innowacji cyfrowych. *Business as usual* jako *marketing as usual* to najlepszy sposób na to, co ekonomistka Mariana Mazzucato nazywa zawłaszczaniem wartości.

Od matematyzacji świata do nowego ducha naukowego w erze cyfrowej

Skąd bierze się to ciągle dążenie do optymalizacji? Przekonanie, że leży ono w tzw. „naturze ludzkiej” trudno byłoby brać na poważnie. Matematyk Giuseppe Longo utrzymuje, że pochodzi ono w dużej mierze z mechanistycznego wyobrażenia o świecie, które w roślinach, lasach, zwierzętach i samych ludziach widzi maszyny, działające na podobieństwo zegarów i składających się nań przekładni zębatych. Takie ujęcie świata nie uwzględnia historycznej zmienności i ewolucji życia w całej jego różnorodności i wraz z mniej lub bardziej lokalnymi osobliwościami, przez które ta różnorodność mówi. W takim mechanistycznym duchu nauki, w którym jedynym źródłem pewności i miarą wiedzy o życiu staje się to, co można obliczyć i sformalizować matematycznie, uwzględnienie skończoności zasobów i troska o krytycznie

zubożoną sieć życia jest funkcjonalnie ograniczona, o ile nie całkowicie niemożliwa.

„«Funkcje» w sensie biologicznym nie istnieją w fizyce” – pisze biolog Stuart Kauffman. Tego rodzaju „funkcji” nie dostreżę również triumfująca dzisiaj teoria ekonomiczna, która bazuje na modelu fizycznym. Jak zauważa ekonomista Ivar Ekeland, wiodącym sukcesem tej teorii jest matematyka finansowa. Kryzys z 2007 roku pokazał, co jest prawdziwą miarą i długofalowym skutkiem tego „sukcesu”. „Mania optymalizowania” w zbudowanym przez nas modelu gospodarczym i technologicznym pokazuje natomiast, dlaczego z tego kryzysu nie zostały wyciągnięte żadne sensowne wnioski.

To marketing, o którym Gilles Deleuze pisał trzy dekady temu, że tworzy „bezwstydłą rasę naszych panów”, jest dzisiaj podstawowym trybem operacyjnym biznesu

Myśląc o reorganizacji ekonomii musimy zatem bardziej krytycznie przyjrzeć się naszym naukom i systemom przekonania, które je uzasadniają. Przede wszystkim oznacza to dogłębne przemyślenie celowości, jakim mają służyć obliczenia, które dzisiaj – za sprawą funkcjonalnie scalonych instrumentów obliczeniowych (od urządzeń pomiarowych, statystycznych, logistycznych, monitorujących i naukometycznych do *emoji* w mediach społecznościowych i aplikacji umożliwiających

tw. „kwantyfikowanie siebie” celem zoptymalizowania własnej efektywności) – tworzą kapitał, zawiadują niemal każdym naszym gestem i mają decydujący wpływ na jakość naszego życia, psychicznego i społecznego, zawodowego i prywatnego.

Dlatego też w kwestii klimatu, nie wystarczy słuchać „głosu nauki” – nie tylko dlatego, że nauki mówią wieloma głosami (nawet jeśli, w kwestii szeroko rozumianej zmiany klimatycznej i jej podłoża antropogenicznego, są to głosy zbieżne). Aby dokonać zmiany, potrzebny jest również inny duch naukowy, który pozwoli nam zmienić światową gospodarkę w obliczu faktu, że świat nie jest maszyną, że jego funkcje pozostają niewidoczne dla jego mechanistycznego opisu i optymalizujących obliczeń, że systemowe rozpuszczenie celowości wszelkich naszych działań w efektywności jedynie pogłębia rozmiary świata bez sensu.

Pisząc przeciw-historię ekonomii warto więc wrócić do Ludwika Flecka i zaproponowanego przez niego ujęcie powstawania i rozwoju faktu naukowego. Fleck uczy, że na wyróżnienie zasługuje ta zasada myślenia, która pozwala postrzegać więcej szczegółów i powiązań. Wskazuje, że każda dziedzina wiedzy winna być zawsze badana z punktu widzenia historii jej rozwoju, a także – jak dzisiaj należałoby dodać – w powiązaniu z historiami rozwoju innych dziedzin wiedzy. Zabierając się za pisanie przeciw-historii ekonomii warto przypomnieć sobie Gastona Bachelarda i jego charakterystykę „nowoczesnej kultury naukowej”: „Obiektywność racjonalna, obiektywność techniczna i obiektywność społeczna, pisał Bachelard w 1969 roku, są odtąd trzema silnie powiązаныmi ze sobą cechami. Zapomnienie o jednej z tych cech nowoczesnej kultury naukowej oznacza wejście w dziedzinę utopii”.

Dzisiaj wydaje się, że poszliśmy o wiele dalej i weszliśmy w dziedzinę dystopii, zwłaszcza tej technologicznej. Warto jednak zauważyć, że oferowana przez Zuckerberga i innych arystokratów uberyzacji planetarna dystopia cyfrowa jest systemową konsekwencją przekonań, które mogły uzasadniać systematyczne powiększanie pola tego, co można obliczyć, sformalizować i wyeksploatować. W ten sposób na tym polu znajdują się dzisiaj zasoby psychiczne, kognitywne i afektywne, eksploatowane równie bezwzględnie co paliwa kopalne. I równie skończone. To również w odpowiedzi na tę technodystopię musimy odnowić kulturę naukową ery cyfrowej i na tej podstawie wypracować fundamenty teoretyczne pod ekonomię jutra.

Nauki i obietnica

Praca teoretyczna i krytyczna, do której tutaj nawołuję, jest trudna. Nie tylko dlatego, że klimat do jej wykonywania jest niesprzyjający – w obliczu (generowanej politycznie) utraty zaufania do nauk, na którą cierpią współczesne społeczeństwa. Taka praca teoretyczna i krytyczna jest również trudna w odniesieniu do tej formy kultury, jaką jest nauka. Nauka, jak mówił Georges Canguilhem, jest bowiem przede wszystkim formą kultury. A pielęgnowanie takiej formy kultury wymaga otwartej, bezinteresownej i wolnej od uprzedzeń deliberacji między wszystkimi racjonalnymi dziedzinami wiedzy, od nauk przyrodniczych, ścisłych i technicznych do nauk społecznych, humanistycznych i nauk o sztuce.

Niestety na współczesnych uniwersytetach tego rodzaju deliberacja często nie jest na porządku dziennym. Środowiska akademickie, zwłaszcza w Polsce, zdezyntegrowane w podziale na dyscypliny

i zatomizowane za sprawą ultraliberalnego ducha konkurencji, który ukatrupił ducha współpracy, od dawna takich deliberacji nie prowadzą. Dopóki jednak nie nauczymy się w ten sposób deliberować, angażując jednocześnie w te dyskusje lokalne publiczności pozaakademickie, dopóty nie będziemy dysponowali obietnicą przyszłości, która mogłaby narodzić się w odbudowanej więzi zaufania między wiedzą a obywatelami i obywatelkami tworzącymi silniejsze społeczeństwa.

Sądzę, że w odbudowie takiej racjonalnej obietnicy przyszłości, a tym samym w rekonstrukcji więzi zaufania, bez której żadne społeczeństwo nie ma racji bytu, świat uczonych ma dzisiaj do odegrania istotną rolę. O ile tylko wykaże się siłą oporu względem autorytarnej – technokratycznej, scjentystycznej lub fundamentalistycznej – władzy i uczyni swój głos słyszalnym w debatach, które czekają nas w najbliższych miesiącach i latach. To od tych debat będzie zależał kształt przyszłości naszej i przyszłych pokoleń.

Rzecz bowiem w tym, że sformułowany przez Smitha projekt ekonomii jako nauki o bogactwie zawierał w sobie pewną obietnicę. Kluczowe pytanie jest zatem takie, co zrobić, aby ta obietnica była możliwa do dotrzymania na innych zasadach, w innych warunkach. Co zrobić, aby dokonująca się zmiana miała sens dla społeczeństw i służyła lepszemu życiu?

To brak tego rodzaju funkcjonalnej obietnicy na horyzoncie powoduje, że podejmowane środki zmierzające do redukcji emisji są zupełnie nieadekwatne do skali transformacji energetycznej, o jaką tutaj toczy się stawka – transformacji, w której bynajmniej nie chodzi wyłącznie o dekarbonizację (nawet jeśli jest ona kluczowa), lecz o przededefiniowanie funkcji procesu gospodarczego i wytwarzanego w nim

bogactwa. Można zatem założyć, że nawet gdyby państwa miały dobrą wolę i chciały pobudzić transformację na miarę sytuacji, brakłoby im nowych aksjomatów i twierdzeń, które mogłyby taką transformację z jednej strony uprawomocnić naukowo i filozoficznie, a z drugiej – uczynić czymś pożądanym społecznie. Po raz kolejny przekonaliśmy się o tym na ostatnim szczycie w Glasgow.

To właśnie przez ten brak funkcjonalnej obietnicy wciąż funkcjonujemy w logice błędnego koła: próbujemy dokonać epokowego przekształcenia, tkwiąc mentalnie w minionej epoce gospodarczej. A to powoduje, że koszty transformacji są po staremu przerzucane na społeczeństwa, wiążą się z ograniczeniami, a nie z obietnicą bogatszego życia.

Od nauki o bogactwie do nauki o negentropii

Aby z tej logiki błędnego koła wyjść, potrzebujemy przejścia od ekonomii jako nauki o bogactwie do ekonomii jako nauki o negentropii. Nie istnieje prosty obrazek, którym mógłbym się posłużyć, aby sugestynnie pokazać, czym jest ekonomia negentropii, tak jak mogła to uczynić Kate Raworth przedstawiając swoją „ekonomię obwarzanka”. Negentropia może być jednak dla nas odtąd czymś, czym dotąd było bogactwo – nową obietnicą. Spróbujmy sobie to pojęcie przyswoić myśląc o nowej ekonomii, a także o tym, z czego i jak będziemy żyć w przyszłości. Zrozumienie tego, czym jest negentropia pozwala nam bowiem zrozumieć, czym mogłaby być jutro nasza praca.

Opisane po raz pierwszy przez fizyka Erwina Schrödingera zjawisko negentropii charakteryzuje organizmy żywe i tworzone przez nie organizacje, a więc również or-

ganizmy i organizacje ludzkie. Na poziomie ogólnym negentropia oznacza zdolność do odwlekania w czasie wzrostu entropii, który – w skali wszechświata – jest nieuchronny i charakteryzuje się rozpadem systemów. Z tego rodzaju rozpadem, generowanym przez system gospodarczy i technologiczny, mamy do czynienia na czterech płaszczyznach: płaszczyźnie fizycznej (rozproszenie zamienionej na ciepło energii, skutkujące ociepleniem klimatu), płaszczyźnie biologicznej (krytyczna utrata bioróżnorodności i powiązany z nią kryzys wirusologiczny), płaszczyźnie informacyjnej (redukcja wiedzy

Nowoczesność sprowadziła pracę do zatrudnienia, uzależniając tym samym wartość pracy od tego, ile ktoś jest w stanie za nią zapłacić, bez względu na płynący z niej pożytek

i umiejętności do informacji zredukowanej z kolei do obliczalnych danych) i płaszczyźnie psychospołecznej (wyczerpanie zasobów energii psychicznej i związany z nim stan zaniku solidarności społeczeństwa). System ten jest wadliwie zaprojektowany dlatego właśnie, że ignoruje wyzwania związane z wytwarzaniem entropii.

Oprócz tego, że mamy zdolność odwleczenia w czasie tego rozpadu (pomimo że jest on nieuchronny), kluczowe jest to, że możemy tego dokonać jedynie miejscowo (lokalnie), a sposobem na to jest

wytwarzanie lokalnych różnic. To dlatego Norbert Wiener mógł napisać, że życie tworzy „wysepki malejącej entropii w świecie, w którym entropia ogólna nie przestaje rosnać”. Dzisiaj z tych „wysepek” możemy uczynić planetarny archipelag termodynamicznie otwartych, osobliwych i połączonych ze sobą funkcjonalnie lokalności, który z jednej strony byłby alternatywą dla hiperentropijnej globalizacji, a z drugiej – dla nacjonalistycznych lokalizmów.

Negentropia nie jest zwykłym przeciwieństwem entropii. Nie istnieje „dobra” negentropia i „zła” entropia. Entropia, wraz z ewolucją, jest bowiem aspektem czasu i stawania się przyrody. To dlatego właśnie nie możemy jej wyeliminować z życia nie eliminując samego życia. Żyjąc, możemy jednak zmniejszać entropię w procesie wytwarzania różnic i nowości. Wytwarzanie negentropii to kulturowanie różnorodności – biologicznej, społecznej, kulturowej, technicznej i językowej, a także troska o nisze, w których ta różnorodność może się rozrastać, przybierając nowe, wymykające się obliczeniom formy.

Bogactwo rozumiane jako negentropia jest nie tyle materialnym efektem wytworzonych wartości, ile – jak proponuje Bernard Stiegler – jest tym, co daje wartość. Bogactwo nie sprowadza się do wartości, oferując jednocześnie możliwość oszacowania wszelkiej wartości: „Bogactwo jest tym, co daje wartość, toteż nie daje się zredukować do wartości. Bogactwo określa potencjalność i przyszłość, która ma nadejść; obietnicę. W tym względzie nie daje się ono przeliczyć lub zmierzyć jak wartość, której wszelako dostarcza kryteriów ewaluacyjnych. (...) W momencie, gdy antropocen stanowi zagrożenie dla wszystkich [narodów], bogactwo nabiera nowego sensu: bogate może być od-tąd tylko to, co umożliwi przewyciężenie

ściśle eschatologicznych granic współczesnego rozwoju gospodarczego”.

A ponieważ takie przewyciężenie umożliwia negentropia, to ona staje się nowym bogactwem, które nie ma ceny, jest regenerującym się i ulegającym przekształceniom potencjałem do wytwarzania wartości. Funkcjonalny przewrót w myśleniu ekonomicznym polegałby na uczynieniu z tego bogactwa podstawy gospodarki, jej nowej racji bytu, a nie tylko efektu gospodarowania.

W skali ludzkiej wytwarzanie negentropii jako nowego bogactwa to przede wszystkim tworzenie umiejętności, teoretycznych, praktycznych i technicznych: umiejętności życia, projektowania, opracowywania, wychowywania, myślenia, podziwiania, współpracowania, troszczenia się o siebie i o innych. To umiejętności w ich uwarunkowaniu lokalnym są bogactwem jako potencjałem do wytwarzania wartości i dlatego trzeba je dzisiaj poddać gruntownej rewaloryzacji, gdyż to one są gwarantem utrzymania ekosystemów społecznych, a co za tym idzie zwiększają szanse społeczeństw na przetrwanie, czynią bardziej odpornymi na przekształcenia technologiczne.

Praca w XXI wieku i nowa arystokracja

Jak to się jednak wszystko ma do ekonomii? Otóż ma się tak, że wytwarzanie negentropii, które w wymiarze społecznym oznacza wytwarzanie umiejętności, może stać się nadrzędnym celem działania, które nazywamy pracą. W szerszej perspektywie antropologicznej, którą przywołuje autorytet w dziedzinie prawa pracy, Alain Supiot, w książce „Le travail au XXIe siècle” (Praca w XXI wieku), praca jest bowiem dla nas działaniem przydającym specyficznie ludzkiego sensu życiu

i stwarzającym specyficznie ludzkie otoczenia życiowe – równie różnorodne i niezbędne do życia jak nisze biologiczne w obrębie ekosystemów biologicznych. To poprzez takie działanie przekształcamy chaos w kosmos, a więc czynimy sobie świat po ludzku możliwym do zamieszkania. Jednocześnie poprzez to działanie jesteśmy w stanie zniszczyć, celowo lub nie, nasze otoczenia życiowe i uczynić z nich miejsca nie do życia. To dlatego właśnie, dowodzi Supiot, kwestia pracy w XXI wieku i kwestia ekologiczna są ze sobą ściśle powiązane. Zmiana systemu gospodarczego w taki sposób, aby sprzyjał on wytwarzaniu negentropii dzięki pracy, musi to powiązanie uwzględniać *funkcjonalnie*.

Tym, co nie tyle umożliwia, ile wymusza tak dogłębną zmianę naszego stosunku do pracy i naszych stosunków pracy, jest technologiczny stan faktyczny, w jakim się znaleźliśmy na przestrzeni dwóch pierwszych dekad dwudziestego pierwszego wieku. Ukształtowana wraz z pierwszą rewolucją przemysłową nowoczesność sprowadziła pracę do zatrudnienia, uzależniając tym samym wartość pracy od tego, ile ktoś jest w stanie za nią zapłacić, bez względu na płynący z niej użytek. A to spowodowało, że przygniatająca większość społeczeństwa pracuje dzisiaj przede wszystkim dla kogoś, a nie dla siebie; robi to, co musi, a nie to, co chciałaby robić, gdyby nie musiała pracować. Dzisiaj taki model pracy definitywnie się kończy. Tym, co się kończy jest jednak nie sama praca, lecz zatrudnienie, które dla sporej większości z nas stało się nudną robotą i którego z tego właśnie powodu nie należy bronić, lecz pozwolić tę robotę wykonywać robotom.

To właśnie automatyzacja jest konkretnym kontekstem, w którym wpro-

wienie ekonomii negentropii staje się nie tylko możliwe, lecz również konieczne. Wyzwanie polega bowiem na tym, aby w automatyzacji, która spowoduje znaczną redukcję miejsc zatrudnienia lub dogłębnie je przekształci, dostrzec możliwości negentropijne. Według najświeższych analiz OECD automatyzacją jest zagrożone 14% miejsc pracy. Przy czym warto dodać, że te uśrednione liczby mogą zmieniać się według regionów: o ile w Oslo automatyzacja uderzy jedynie w 6,5% miejsc pracy,

Obietnica, jaką niesie ze sobą automatyzacja jest taka, że my wszyscy możemy stać się arystokratami pracując

o tyle w Polsce i Słowacji odsetek ten wynosi odpowiednio 23% i blisko 35%. To, że tak duża liczba miejsc pracy zostanie zautomatyzowana, jest najlepszym dowodem na to, że jej wykonywanie wiązało się z powtarzalnymi, monotonnymi i dlatego właśnie automatyzowalnymi czynnościami. Przekonanie, że automatyzacja przyniesie nowe miejsca pracy i że wszystko samo się wyreguluje, to nieracjonalne trwanie w systemie, który automatyzacja uczyni po prostu *niewypłacalnym*.

Aby uciec przed tego rodzaju bankructwem, ekonomia negentropii sprzyja natomiast pracy jako działaniu, które ma na celu współwytwarzanie umiejętności i pielęgnuje ideę pracy umożliwiającej coś, co André Gorz nazwał „rozkwitaniem siebie”. Obietnica, jaką niesie ze sobą automatyzacja jest taka, że *my wszyscy możemy stać się arystokratami pracując* –

rozkwitając nie tyle poza pracą, nie tyle nie pracując, ile dzięki pracy jako działaniu polegającego na wytwarzaniu dzieł, na współdziałaniu rozradzającym nowe formy wiedzy.

Uspołecznić zyski z automatyzacji. W stronę nowej polityki innowacji

Dostrzeżenie tego rodzaju obietnicy w automatyzacji właśnie zakłada jednak podjęcie walki o radykalne odwrócenie skrajnie technokratycznego kierunku, w jakim automatyzacja podąża. Zyski z automatyzacji i zaoszczędzony dzięki niej czas musimy przeznaczyć na wzmacnianie i kultywowanie tych umiejętności, których nie da się zalgorytmizować, które do tej pory były uznawane za nieprodukcyjne, a które dzisiaj trzeba uczynić podstawą nowej ekonomii – ekonomii negentropii. Kluczowe pytanie naszych czasów dotyczy bowiem tego, jak pracować, aby zmniejszać entropię.

To dokładnie w tym miejscu musi dojść do przewartościowania wartości, jaką od czasów Schumpetera przypisujemy innowacjom technologicznym. Być innowacyjnym – to wytwarzać nowość. Żaden wynalazek techniczny nie wytwarza no-

wości sam z siebie dopóki, dopóty nie zostanie uspołeczniony. Brak takiego uspołecznienia może tylko wzmocnić toksyczność technologii, prowadzić do dezintegracji więzi społecznej i masowej utraty umiejętności. Dlatego też innowacyjność, polegająca na wytwarzaniu umiejętności, może być jedynie społeczna i do takiej innowacyjności powinniśmy dążyć, wykorzystując zaburzające innowacje technologiczne do wytwarzania nowych umiejętności, które tworzą nowe więzi społeczne, a nie do wzmacniania gospodarki danych w służbie zalgorytmizowanej hiperkontroli.

Takie podejście do innowacji stoi w jawnej kontrze do antyspołecznej, a więc antyinnowacyjnej (i antypracowniczej) polityki technologicznych gigantów, którym prezydenci polskich miast i prezesi specjalnych stref ekonomicznych otwierają dzisiaj szeroko drzwi. Ta droga donikąd. Jedynie innowacje społeczne, a więc również radykalnie nowa polityka innowacji, mogą poprowadzić nas do ekonomii negentropii i postglobalnego gospodarowania, w którym – jak przekonuje Bernard Stiegler wraz z Kolektywem Internacja – chodzi odtąd o to, aby „zarabiać na życie, zyskując życie”.